

M G Ł A

SALCIA HAŁAS
DLA BIENNALE TRAFFIC DESIGN 2020
GDYNIA WZG

Helikoptery odleciały, okręty odpłynęły, wygładziła się tafla Zatoki.
Morze chlupotało o falochron, samotny łabędź unosił się na wodzie i spał z głową schowaną pod skrzydłem.
Od morza było już jasno, kiedy z otłowianej wody wysunął się peryskop.
Obrócił się kilka razy wokół własnej osi i zniknął.
W jednej chwili przestało padać i przestało wiać.
Czasami w listopadzie zdarzają się takie dni.
Cisza, jakby kto wyłączył wiatr.
Flauta.
W tę bezwietrzność z morza na bulwar wypełzła biała mgła.
Oplotła się wokół latarni, potknęła kilku biegaczy i samotnego psa.
Trochę się poturlała kłębami, trochę się postrzępiła.
Zrzędała, od nowa zgęstniała i zawisała.
Leciutko zadrzała, wycofała się nad morze i jak wielkie, leniwe zwierzę ułożyła się na wodzie.
Jakby na coś czekała.
Wieczorem znów się uniosła.
Była sobota, kończył się drugi tydzień listopada, Arka wygrała dwa jeden z Niecieczą.
Dalej historia jest pełna zagadek, nic nie wiadomo na pewno.
Tego wieczoru na Wzgórzu rozegrały się zdarzenia dziwne.
Powstał o nich reportaż w Dzienniku Bałtyckim, zatytułowany

T A J E M N I C Z A B I A Ł A M G Ł A

Epicentrum zdarzeń miało miejsce na dzielnicowym skwerku, przy ulicy Legionów, w Gdyni, na Wzgórzu Świętego Maksymiliana.
Wracający z meczu Arki kibice uszkodzili witrynę piekarni.
Stłuczoną szybę oraz parę kibiców zauważył przejeżdżający tamtędy patrol.
Z pozoru sytuacja nienależąca do niezwykłych.
Gdyby nie to, co zeznali zatrzymani.
Dariusz W. i Kamila S.
Dariusz W. zeznał, że to nie on, tylko niewidzialny koń stłukł szybę.
Mówi, że niewidzialnych koni było więcej, biegły spłoszone, i że wraz ze swoją dziewczyną zginęły, gdyby nie to, że zatrzymała je Matka Boska.
W następnej wypowiedzi Dariusz W. dodaje, że zwierzęta nie były tak do końca niewidzialne, określa je jako „trochę jakby półprzezroczyste”.
Dariuszowi W. udzielono natychmiastowej pomocy medycznej, ponieważ w ramię miał wbite szkło.
Orzeciono też u niego wstrząs mózgu.
W wydychanym powietrzu miał dwa promile alkoholu, a w jego krwi znaleziono ślady marihuany.
Jego partnerka, Kamila S., potwierdza, że w zdarzeniu brały udział niewidzialne konie oraz Matka Boska.
A oprócz tego – dodaje – dziki, ale dziki nie były niewidzialne, tylko zupełnie normalne.
Co do szyby – nie wie, kto ją stłukł, bo wszystko – mówi – zdarzyło się zbyt szybko, ale – dodaje z całą pewnością – nie był to akt bezmyślnego wandalizmu tylko przypadek.
Kamila S. nie piła wcześniej alkoholu, za to w jej krwi również wykryto ślady marihuany.
Co ciekawe, wersję zatrzymanych częściowo potwierdzają trzej mężczyźni, którzy w tym czasie spożywali na skwerku alkohol.
Za prawdopodobną uważają ją także inni mieszkańcy Wzgórza.
Dodają, że tego wieczoru dzielnicę przykryła wyjątkowo gęsta mgła.
Jeden z mieszkańców twierdzi, że ta mgła mogła być przyczyną zdarzeń.

*Takiej mgły, jak żyję, nie widziałem.
Trzy dni wcześniej były manewry.
Ja uważam, że to może być powiązane.
Tu nad nami latały Blekholki, po Zatoce pływały okręty, to musiało być NATO, nasi takich nie mają.
A tę mgłę to albo puścili dla eksperymentu, albo sama im zbiegła.
Oni, w tych wojskowych laboratoriach, mają nie takie rzeczy.
Wirusy, zarazki, broń soniczną, wszystko!
Utajnią to, nic się nie dowiemy, utajnią tak jak utajnili UFO, to w pięćdziesiątym szóstym.
A co do koni.
Ja nie widziałem, no, ale konie mogły się spłoszyć, konie są płochliwe z natury, konie się różnych rzeczy boją.
Taki koń potrafi się przestraszyć nawet reklamówki.
Koni nie widziałem, ale à propos, wieczorem, jak wyszedłem z psem, to – choć dziwnie to głośno mówić – chyba widziałem Brechelkę.
On tu niedaleko, na Górnej, mieszkał – najstarszy furman Gdyni.
To znaczy był, był najstarszy, bo teraz to on już nie żyje.
No, a ci młodzi mieli pecha.
Przypadkowo się w to wszystko zaplątali.*

PANI GERTRUDA, MIESZKANKA ULICY SYROKOMLI

*Ja to im wierzę, ja też słyszałam te konie, rzenie i takie klip klap, klip klap – końskie kroki.
Przez okno, bo wieczorem otworzyłam.
Zdziwiłam się, bo – myślę – skąd tu konie?
Dalej już nie słyszałam nic, bo aparat słuchowy zdjęłam i poszłam spać.
A dziki, wiadomo, chodzą.
Tylko piekarza szkoda, będzie musiał wstawić szybę.
Wczoraj miał zamknięte.
No, ale chyba miał ubezpieczone?
Chleb musiałam gdzie indziej kupić, choć nie lubię, nie lubię kupować gdzie indziej, ja chleb w tym samym miejscu kupuję od pięćdziesięciu lat.
Nigdzie tak nie pachnie jak tam.
Solą morską i rurkami z kremem.*

PANI ANNA, MIESZKANKA ULICY GÓRNEJ

*Ja to uważam, że to wszystko przez listopad.
Moja świętej pamięci babcia mawiała, że w listopadzie otwierają się przejścia.
Ona z Litwy, a oni tam mieli przecież Dziady.
No i właśnie też w listopadzie.*

Mgła przeciągnęła się, zafalowała i wyszła z morza.
Na początek wysunęła kilka języków.
Polizała szpaler topoli.
Stado gawronów z wraskiem zerwało się do lotu.
Mgła połknęła Mariolę, autobus numer 128 i Dom Marynarza.
Przepłynęła przez park, wokół drzew zaplotła się ogonami.
Owinęła Japońską Górkę, wypełniła Polankę i baseny.
Robiło się jej coraz więcej, kłębiła się i pęczniała.
Pochłaniała kolejne wille, kładła się w ogrodach, pełzła ulicami na szczyt Wzgórza.
Na skwerku przy piekarni się zatrzymała.
Polizała szybę, wytarzała się w zapachu ciastek.
Przeciągnęła się, westchnęła, zadrżała.
I zaczęła bąbelkować.
Zakipsiała, zgęstniała jak mleko na kajmak i znieruchomiła.
Ale zaraz podarła się na strzępy.
Potem na powrót w jeden tuman się połączyła, miejscami zrzędała, miejscami zgęstniała, miejscami leciutko się uniosła.
Wyglądało to, jakby wypróbowywała różne dostępne formy istnienia.
Ale Darek, zwany też Dariuszem W., tego nie widział.
Nie widział, bo się nie rozglądał, miał na głowie kaptur i patrzył na drogę w telefonie.
Prowadzony przez dzi-pi-es, parł naprzód jak husaria.
Parł, bo uważał, że ma za sobą siłę wyższą i to nie byle jaką.
Matkę Boską Arkowską.
Matce Boskiej Arkowskiej on obiecał, że jak Arka wygra mecz z Niecieczą, to on zaraz po meczu pójdzie na Ejsmonda, na stary stadion.
O to się właśnie, zaraz po wyjściu z meczu, z Kamilą pokłócili.
Kłócili się w zasadzie całą drogę ze stadionu na Wzgórze.
Kamila mówiła, że Matki Boskiej Arkowskiej nie ma.
I że to głupota sobie wyobrażać, że się wie, za jakim Matka Boska jest klubem.
To Darek, że chyba wie się, że za Arką.
Nawet gdyby tak było – Kamila na to – to wcale by jej nie zależało, żeby z jej powodu, nocą, we mgle leżąc na stary stadion.
I że na stary stadion można pójść kiedy indziej.
Chociażby jutro.
Byłaby go przekonana, gdyby nie to, że wtrącił się Darka kolega – Mariusz.
I powiedział, że trzeba dotrzymać, jak się Matce Boskiej obiecało.
No, a w ogóle to oboje powinni tam pójść.
Darek, bo obiecał, a Kamila, bo jeszcze nie była.
A każdy, kto Arkę kocha, chociaż raz w życiu powinien być na Ejsmonda.
Tam, gdzie się wszystko zaczęło.
I że sam by też poszedł, gdyby tylko mógł.
Ale nie może, bo jego mama właśnie dzisiaj ma imieniny.
To Kamila poszła, chociaż nie chciała.
Instynkt fanki horrorów podpowiadał jej, że z tą mgłą jest coś nie tak.
Szła i mamrotała: Tylko ty i ten Mariusz, nic cię innego nie obchodzi, włosy mi się skręcają...
Nie po to je pół godziny prostowałam...

*No ja to akurat nic nie widziałem, bo u kolegi byłem, w Wejherowie.
 Ale małżonka moja, ona znalazła się, można powiedzieć, w samym centrum zdarzeń.
 Tyle że przez okno.
 Bo my zaraz naprzeciwko piekarni mieszkamy.
 Na pierwszym piętrze, okna mamy od ulicy, zaraz nad greckim sklepem.
 Małżonkę obudził brzęk szkła, a wcześniej śniły jej się konie.
 Coś musiało być na rzeczy, bo przecież ona z końmi na co dzień nie ma nic wspólnego.
 Ani filmu nie oglądała, żeby w nim były konie, ani książki nie czytała, ani nic, bo była awaria
 i wyłączyli prąd.
 Musiała te konie słyszeć przez sen.
 Wszystko widziała – stłuczoną szybę i jak ich spisywali.
 Koni już wtedy tam nie było.*

B L E K A U T

Mgła na powrót zlepiła się w kłąb.
 A w kłębie szepty.
 Szepty, szelesty, chichoty.
 I skrzypienie.
 A potem jeszcze ten dziwny dźwięk.
 Łiii łii łuu łuu!
 Łii łuu łuu łuu!
 Jakby gdzieś w oddali śpiewał wieloryb.
 Żeby lepiej słyszeć i widzieć, Kamila zdjęła kaptur.
 Dookoła działo się coś naprawdę dziwnego, a Darek, z nosem w telefonie, zdawał się
 tego nie widzieć.
 Pociągnęła go za klubowy szalik.
 – Darek, stój, słyszysz te dziwne dźwięki? Darek, co to jest? Ta mgła też jest jakaś dziwna.
 Ona jakby... żyje.
 Darek westchnął, stanął, zsunął z głowy kaptur i demonstracyjnie się rozejrzał.
 A mgła, jak na złość, akurat nie zrobiła nic.
 Po prostu była.
 Jak to mgła.
 Darek fuknął, skrzywił się i z wyższością spojrział na Kamilę.
 – Kamila, uspokój się, znowu masz jakieś chore loty. Mówiłem, żeby tego od Makara nie jarać,
 maczane w czymś ma. Jest listopad, jest mgła. A ten dźwięk, to z portu, z portu się niesie.
 – To nie z portu, to jest gdzieś tu. W tej mgle – upierała się Kamila.
 Przez dłuższą chwilę nasłuchiwali oboje.
 Tajemnicze łulu przycichło.
 Ucichły szepty, chichoty.
 I skrzypienie.
 Za to rozległa się muzyka, i to gdzieś całkiem niedaleko.
 Jakby tuż za rogiem.
 – No i co? – Darek wzruszył ramionami. – Ktoś na czymś gra, co w tym dziwnego? Jak chcesz,
 możemy podejść i zobaczyć, kto to.
 Kamila nie była przekonana, bo uważała, że to może być duch.
 Ale się nie odezwała, więc Darek wziął ją za rękę i skręcili w wąską uliczkę.
 Tutaj widoczność była lepsza, mgła płynęła dotem.
 W pianistym strumieniu brodził listonosz; jak to listonosz – w mundurze, w czapce i z torbą.
 Trochę dziwnie szedł, trochę się chwiały, trochę się na jedną stronę przechylał.
 Może dlatego, że jednocześnie niósł ciężką torbę i grał na akordeonie, a może dlatego,
 że był lekko wcięty.

- No i co? - Darek triumfował. - Masz, Kamila, swojego stracha. Zwykły listonosz, idzie i sobie gra.
 Kamila schowała się za Darka i wyszeptala mu do ucha.
 - Ty weź się lepiej dobrze na niego popatrz. Z nim coś jest nie tak, on wcale nie wygląda normalnie. To nie jest zwykły listonosz.
 Darek już-już miał coś przykrego powiedzieć, ale nie zdążył.
 Bo wtedy listonosz zniknął.
 A za chwilę, kawałek dalej, się pojawił.
 I znowu zniknął.
 Ani na chwilę nie przestawał grać.
 Kamila wrzasnęła.
 Darek zbladł.
 We mgle coś błysnęło i rozległ się cichy trzask.
 A zaraz, po trzasku, pogasty światła w oknach bloków.
 Wyłączyły się lampy uliczne.
 I nastąpił blekaut.

ONA UMARŁA LATA TEMU

- Darek, Darek, widziałeś to?! On zniknął, naprawdę, zniknął! Idziemy, idziemy stąd, zawracamy - Kamila przerażona szarpała chłopaka za rękaw.
 - A Matka Boska i obietnica? - zapytał Darek, bez przekonania, dla porządku.
 - Przepraszam Matkę Boską i pójdziemy na stadion za jasności, następnym razem - gorączkowo szepotała Kamila. - Przecież widzisz, że tu się dzieje jakiś horror.
 Tym razem Darek nie zaprotestował.
 - No, raczej, tak. Matka Boska chyba widzi, że się starałem i że dzisiaj nic więcej nie da się zrobić. Poczekaaj, tylko dla pewności sprawdzę, jak z powrotem iść, bo się w tej mgle już trochę... yyy... zakręciłem.
 - A to co...? - przerażony, wpatrywał się w telefon. - Nie wyświetla mi się! Nic mi się nie wyświetla! Nic! Dzi-pi-es mi padł, Internetu nie ma!
 - U mnie też nie! U mnie też nie! - Kamila gwałtownym klikaniem próbowała ożywić martwy telefon. Jakaś awaria! Ale żeby aż tak? I światło, i telefony, i Internet?
 - To nic - próbował zebrać się w sobie Darek. - Nic nie poradzimy, faktyka, awaria. Zawrócimy do rogu, tak jak przyszliśmy, a potem chyba jakoś trafimy.
 Tymczasem mgła znów zgęstniała i to tak, że nie było widać dalej niż na trzy metry.
 A z mgły dobiegły szept, chichoty, i odezwało się to, co wcześniej - skrzypienie.
 Darek zasapał.
 Kamila zadrżała.
 Skrzypienie w horrorach nigdy nie zapowiadało nic dobrego.
 Rozdarł się kot, gdzieś bardzo niedaleko.
 Skrzypienie przybrało na sile.
 Przepłynął kłęb mgły, a z kłębu wyłoniła się starsza, siwowłosa kobieta.
 Przed sobą pchała wózek.
 W wózku na kołdrze leżały koty, a między kotami kolorowe, jesienne bukiety.
 Obok wózka szły dwa małe, grube psy, jeden kulał, a drugi był ślepy.
 - Może kwiatki? Może kwiatki pan kupi dla pięknej pani? - rzuciła od niechcienia, mijając ich.
 A potem, nie czekając na odpowiedź, znikła, tak jak listonosz.
 Po prostu rozpułyła się we mgle.

*Tego wieczoru była taka mgła, że drugiej strony ulicy nie było widać.
Zaraz jak ta mgła przyszła, wzmógł się zapach.
Każdy zapach.
Okno otworzyłam, pachniało wodą, liśćmi i ciastkami z piekarni.
Stamtąd zawsze pachnie, ale nie aż tak, ja mieszkam spory kawałek dalej.
A tamtej nocy na całej dzielnicy do rana pachniało drożdżówkami.
Zamknęłam okno i zaraz potem była ta awaria – prąd, telewizor, Internet, wszystko.
To zapaliłam świeczkę, chwilę poczytałam, ale co to za czytanie przy świeczce.
Kiedyś co chwila wyłączali prąd, a teraz człowiek się odzwyczaił.
Przed snem jeszcze paliłam przez okno.
Wtedy zobaczyłam postać.
Pewna nie jestem, bo to było we mgle, ale wyglądała mi ta postać na panią Salomeę.
Ona była po obozie, po traumie, zawsze miała ze sobą walizkę, a w tej walizce chleb.
Tylko że, w tym sęk, że ona umarła już lata temu.*

PANI ANNA, MIESZKANKA ULICY UJEJSKIEGO

*Czy to możliwe, żeby to były duchy?
Tu u nas, na Wzgórzu, duchy są prawdopodobne, tu jest ich największe zagęszczenie
w całej Gdyni.
U nas i na Kamiennej Górze.
Widocznie coś takiego w powietrzu musi być, co jest dla duchów przyjemne, jakiś mikroklimat,
który tym duchom odpowiada.
Ten dom nawiedzony, Ujejskiego siedem, to przecież na naszej ulicy.
Co tam te duchy nie wyprawiały, co tam się nie działo!
Wszyscy wiedzieli, że tam straszy, od dzieciaka baliśmy się wracać tamtędy ze szkoły.
Szczególnie zimą, po zmroku.
Teraz już nie ma tego domu, zburzyli, szkoda go, piękny był, z gankiem, ceglany.
Jeden z ładniejszych domów na Wzgórzu.
Z drugiej strony, ja się spadkobiercom nie dziwię.
Nikt nie chciał kupić, nikt nie chciał mieszkać, tam była klątwa naprawdę ciężkiego kalibru.
Nie wiadomo, czy od Niemca, bo to Niemiec budował, czy od właścicielki, co nastąpiła po wojnie.
Ja nie pamiętam, ale moja mama mówiła, że to była bardzo przykra osoba.
Skąd się wzięła po wojnie w tym domu?
Nie wiadomo.
Czy kupiła, czy, jak stał pusty, zajęła, czy dostała z kwaterunku?
Musiała mieć wysoko postawionych przyjaciół, że jej nikogo nie dokooptowali.
To była bardzo zamożna pani – miała miśnieńską porcelanę i małego pieska, i temu pieskowi
na tej miśnieńskiej porcelanie jeść dawała.
Jak umarła, w domu zaczęły się dziać rzeczy dziwne.
Dom był pusty, a dwa razy się palił, ogień za każdym razem pojawiał się w tym samym miej-
scu, na poddaszu.
Tam, na tym poddaszu, się musiało coś zdarzyć.
Słyszał było stamtąd stukanie, hałasy, latami to trwało.
W końcu któryś ze spadkobierców zaczął remontować.
Duchom się ten remont nie spodobał.
Co się tam nie działo!
Wysokie napięcie przez ogrodzenie bez prądu szło.
Z budowlanców jeden umarł, a drugi z drabiny spadł.
Po tym remoncie dom znowu stał pusty, wszyscy, nawet bezdomni, omijali go szerokim łukiem.
Jakiś czas mieszkali tam Chińczycy, ale nie wiadomo, czy ich też ten duch męczył.
Może tak, ale nic nie mówili, bo przecież jak, a może chroniła ich bariera kulturowa.*

*Jak się wyprowadzili, działkę kupił Puch i Pierze, a zaraz jak kupił i zburzył dom, to umarł.
Zginął w katastrofie samolotu.
Spadkobiercy na działce się budowali, ale nie skończyli, bo budowę wstrzymano.
Niby z tego powodu, że chałupa za duża, za wysoka, za szeroka i w ogóle niezgodna z planem.
Ale mało to rzeczy tak się dzisiaj buduje?
Na Kamiennej Górze, na dzielnicy obok, tak się jeden budował, że aż mu dom spłynął.
A razem z domem pół ulicy.
A u nas, co?
Nic innego jak tylko skutki klątwy.*

SMUTNY PIES

Mgła falowała, na zmianę to gęstniała, to rzedła.
Toczyła się w kłęby, darła się na strzępy tylko po to, żeby zlepować się w kłęby z powrotem.
Gdzieś we mgle ktoś płakał, ktoś syczał, ktoś szeptał.
I to akurat nie był żaden duch, tylko Kamila.
– Darek, Darek, a tobie się nie wydaje, że my od tego rogu idziemy nie w tę stronę? Mieliśmy iść w prawo, a poszliśmy w lewo. Darek, gdzie my jesteśmy? Ja nie pamiętam tych schodów, nie szliśmy tędy. Darek, zgubiliśmy się! Okłamałeś mnie, mówiłeś, że wiesz, jak iść, że byłeś tu tyle razy, że na pamięć, nawet bez dzi-pi-esa trafisz. To w końcu jak?
Darek wcisnął ręce w kieszenie.
W ten sposób nie było widać, jak drżały.
– Ee... no... Kamila, nie okłamałem cię. To ta mgła... Normalnie się nie gubię. Poza tym mówiłem, że wiem, jak iść, a nie, że wiem, jak wracać. Jak szliśmy z Mariuszem, wracaliśmy inną drogą, przez bulwar. Zmyliła mnie ta od psów – stęknął żałośnie.
I zamarł, bo wtedy znowu odezwał się ten dziwny dźwięk, tii tii... tuu tuu...
– Darek, Darek, patrz, co tam jest! Patrz tam, patrz tam! Jaki wielki pies! To dog – dog arlekin!
Kamila wskazywała palcem prosto w kłęby mgły.
Darek uskoczył w tył.
Od dziecka panicznie bał się dużych zwierząt, a szczególnie psów.
A chodnikiem, wprost na nich, szedł bez smyczy wielki, nakrapiany pies.
Szedł i płakał.
Normalnie, jak człowiekowi, tży mu ciekły.
Zaraz za psem szedł niski, tysz mężczyzna z pochyloną głową.
Wyglądał, jakby było mu wstyd.
Smutny pies kichnął.
Darek podskoczył, przyłgnął do muru i prawie weń wniknął, ale pies minął go, nie zwracając na niego żadnej uwagi.
Razem z niskim, tysz mężczyzną powoli zniknęli we mgle.
Darek odetchnął.
Przepłynął kolejny tuman mgły.

BĄBELKI Z INNEGO CZASU

Z przejścia między kamienicami wytoczył się człowiek w rozpiętym płaszczu.
Jednym ramieniem tulił do siebie wielką szynkę, drugim – srebrzystą felgę.
Stanął przed budynkiem i, zdezorientowany, błędził spojrzeniem po fasadzie.
– A gdzie? Gdzie jest Antałek? Zzaffsz... zaffsz... tu był...
Kiedy dostrzegł Darka i Kamilę, zabełkotał.
– Przepraszam bardz..., może państwo chsieliby kupić baleron? Albo felgę? Piękna felga, sztuka nówka, nieśmigana. Do poloneza karo.
Chwiejąc się na nogach, prezentował obie te rzeczy.
– Nie? Wódka, kiełbasa, papierosy. Dolary, perfumy – recytował – Fszysko mogę załatwić.
Ffszy... – w pół słowa rozptynał się w powietrzu.

*Może to nie duchy, może to czas.
Może od tej mgły coś się z czasem stało.
Jak w Iks Fajls albo w Strefie mroku.
Ja to lubiłam sajens fikszyn, fantastykę, czytałam Lema, Bułyczowa.
I jak dla mnie, to wyglądało bardziej tak, jakby czas się miejscami pozaginał, miejscami zrolował,
a miejscami nałożył.
Albo jakby się porobiły bąbelki z innego czasu.
Dlaczego tak uważam?
Widziane były dawno zmarłe osoby, ale ja, ja widziałam nasz stary śmietnik sprzed lat.
A z kolei moja koleżanka słyszała wyraźnie orkiestrę, na ulicy Partyzantów w willi u doktor
Słowikowej grał Gersztina.
Ona tam, w tej willi, przed wojną, miała prywatną klinikę, szpital pulmonologiczny, a oprócz
tego jako pierwsza w Polsce leczyła muzyką.
Z tym śmietnikiem, jak było?
Ano tak, że poszłam wyprowadzić psa, wchodzę w podwórko i patrzę, stoi śmietnik, nasz,
ale jakby nie do końca.
Bo z innego czasu.
Sprzed wymiany.
No dziwne, myślę, może to po tych nowych lekach, zwidy jakieś mam?
No ale co, idę dalej, wychodzę z podwórka, Fafik musi się załatwić.
Idę i widzę pielęgniarkę, Ninę.
To nie mógł nikt inny być, tylko ona, ona była nie do pomylenia.
Nosila się, można powiedzieć, z angielska, wyglądała jak wyjęta ze starego filmu.
Miała pelerynę, czepek, medyczną torbę.
I takie specjalne, sznurowane pielęgniarskie buty.
Umarła dawno temu.
Śpieszyła się, jakby do chorego szła.
A jak wróciłam z psem, na miejscu z powrotem stał nasz stary śmietnik.
Oprócz mnie nikt tego nie widział.
To była sobota, późny wieczór, mgła, nikt nie wychodził jak nie musiał.*

KAMILA, CÓRKA PUSTEK

Mgła nieco zrzędała.
Kamila z Darkiem wyszli na mały skwerek.
Widząc go, Darek odzyskał pewność siebie.
– No to już teraz wiem, pamiętam ten skwerek, tu zaraz jest sklep, sklep Vip, pamiętam,
z Mariuszem kupiliśmy tu browary, wtedy, w lato, jak pierwszy raz na stary stadion szliśmy...
Ciemno, zamknięte... Wisi kartka... No tak, przepraszamy, awaria... Ale nic, już chyba wiem,
którędy zejść stąd do tej drogi, co nad morze. Tam dalej jest piekarnia, kupowaliśmy tam takie
zapiékanko-bułki, z keczupem, dobre. Trzeba dojść do tej piekarni, a dalej już prosta droga, w dół.
Doszli do piekarni, ale nie zeszli w dół, bo Darek zobaczył we mgle obte, złowrogie, ciemne kształty.
Pociągnął Kamilę przez pasy za róg, w boczną uliczkę i płasko przylgnał do pogrążonej
w ciemnościach witryny fryzjera.
Ciemne kształty były tuż obok.
Chrumkały.
– Kamila? Kamila! Zobacz, co tam jest.
Kamila wyrzała za róg.
– Dziki – odpowiedziała spokojnie. Tam są dziki. Wyglądają na zwykłe. Dwie lochy z pasiakami.
Kamila, córka Pustek Cisowskich, była do dzików przyzwyczajona.
Od dziecka karmiła je jabłkami z balkonu.
– Co cię tak one wydygały? – zdziwiła się. – Po twoim Obłuzu nie chodzą? Niegroźne są, w śmiet-
niku się przyszły pożywić. Nic nie zrobią. Trzeba tylko spokojnie przejść obok i nie zaczepiać.

Ale Darek nie chciał przejść obok.
 Wtedy Kamila nie wytrzymała.
 – No co ty, Darek? Jeździsz na wyjazdy, bijesz się z Lechią, przecież ty żeś raz nawet na ustawce był!
 Ale – na to Darek – że dziki to nie Lechia.
 I że koło dzików nie przejdzie.
 Uparł się, żeby górą obejść.
 Kamila fuknęła, ale nie było rady.
 Mgła znów zgęstniała.
 Weszli w uliczkę Syrokomli, przegapili we mgle pierwszy skręt w Górną i weszli w Grottgera.
 Nie uszli jednak daleko, bo tylko do szkoły.
 Napłynął nowy kłęb mgły, a z tego kłębu wylał pies.
 Wylał i usiadł na chodniku.
 A wielki!
 Łaciaty bernardyn.
 Ogromny łeb, siedzi, warczy i zagradza drogę.
 Jeden wielki pies, drugi wielki pies, dziki – tego już było za wiele na jeden wieczór. Nawet dla Darka.
 Jakby zmaterializowały się jednocześnie wszystkie jego najgorsze lęki.
 Wycofał się, chwając, za róg i spłynął po murku.
 Ukrył twarz w dłoniach.
 – Kamilka – jęknął. – Już nigdy. Już nigdy nie pójdziemy na Arkę. Już nie wrócimy do domu.
 Od początku miałaś rację, to nie jest zwykła mgła. Zgubiliśmy się na prostej drodze, wychodzą na nas jakieś straszne stwory. Następnym razem będę słuchał ciebie, nie Mariusza.
 – Nie Mariusza – Kamila zrobiła okrągłe oczy.
 Darek pierwszy raz przyznał jej rację. I jeszcze ten Mariusz.
 Stała bezradnie z opuszczonymi ramionami.
 Zupełnie nie wiedziała, co ma zrobić.
 Stała tak dłuższą chwilę, w końcu kucnęła przy Darku, objęła go i zaczęła przemawiać łagodnym głosem, jak do dziecka.
 – Darek, spokojnie, posłuchaj. Z tym psem to bieda, fakt, nie przejdziemy, wygląda, że on tam czegoś broni, pewnie szkoły. Ale dziki chyba już poszły. Wrócimy do tego skrzyżowania i zobaczymy. Jak ich nie będzie, to tak jak mówiłeś, zejdziemy normalnie w dół. Masz tu fajka, sobie zapal. Zaraz z tej mgły wyjdziemy, zobaczysz, chodź. Pójdę przodem.

DYREKTORKA SZKOŁY PODSTAWOWEJ PRZY ULICY GROTTGERA

Ci młodzi wspominali coś o bernardynie?
To mogła być bernardynka, suka – Tima – naszego woźnego pies.
Jak woźny umarł, ona też umarła, jakieś trzy miesiące po nim.
Jak żyła, pilnowała i dzieci, i szkoły, obcych nie przepuściła.
Może być, że ich nastraszyła, mojego męża, jak po mnie przyszedł, też raz nie puściła.
Ale nie rzucała się, nie szczekała, tylko siedziała i budziła respekt.
Te duchy, czy to nie dziwne?
Hmm... No może trochę tak, ale tutaj, na Wzgórzu, ludzie są przyzwyczajeni do zdarzeń ze sfery metafizycznej.
Tu na co dzień jest duże zbiorowisko duchów.
Niedaleko, słyszał pan, na Ujejskiego siedem.
Ja sama tu nie mieszkam, bo ja na Witominie, ale od rodziców moich uczniów słyszę.
A tu, w szkole, też.
Też jest, można powiedzieć, duch.
Ale bardzo cichy i spokojny.
Nie przeszkadza, nie straszy.
Tylko sobie chodzi wieczorami.
Ja często zostaję po godzinach, wtedy go słyszę.
Ja myślę, że ten duch to nasz harcmistrz, pan Górny.

*To był za życia bardzo porządnym człowiekiem, to i porządnym z niego duch.
Tyle że człapie i szura, jak to stary człowiek, ciężkie ma kroki.
Chodzi do biblioteki.
Tam teraz jest biblioteka, ale kiedyś była harcówka.
Przyzwyczał się, chodził za życia, to chodzi i po śmierci.*

MATKA BOSKA ARKOWSKA

Kamila i Darek zeszli Syrokomli w dół i zatrzymali się przed fryzjerem.
Kamila wyrzała zza rogu.
Dziki już poszły.
Było pusto, panowała cisza.
Nawet mgła zachowywała się przyzwoicie, jak normalna mgła.
Ucichły szept, chichoty.
Ucichło nawet tajemnicze łuu łuu.
– Nie ma ich, Darek, chodź. Słyszysz? Nie ma ich. Przejdziemy na drugą stronę i pójdziemy tamtędy, tam jest jakby jaśniej.
Przeszli przez skrzyżowanie, Kamila przodem, a Darek tuż za nią.
Wtedy właśnie zaczęło się dziać.
Mgła zafalowała.
Zawirowały liście.
Z bieli na środku ulicy wyłoniła się niebiesko-biała postać.
– Matka Boska – wyszeptał Darek. – Matka Boska Arkowska nam się niegodnym objawiła...
Patrz, Kamila, patrz, Tomaszu niewierny. Nie wierzyłaś, a mówiłem ci.
– Ale ona ma biało-niebieskie barwy – wyszeptła przytomnie Kamila. – To zwykła, nasza, normalna Matka Boska po prostu jest... Jezu, mama nigdy mi nie uwierzy... Chodź, podejdziemy, może nam pobłogosławi. Może nam coś powie.
– Poczekaj, Kamila, nie możemy tak – syknął Darek. – Musimy poczekać, aż coś do nas powie, aż nas do siebie poprosi.
Ale Matka Boska nie zrobiła w ich kierunku żadnego gestu.
W ogóle nie robiła nic, po prostu stała i nie zwracała na nich żadnej uwagi.

POD MOPS-EM JEST KOŃSKI CMENTARZ

Tymczasem niedaleko, pod przychodnią, z mgły odezwało się rżenie.
A potem, klip klap, klip klap – końskie klapanie.
Gdzieś całkiem niedaleko.
Mgła zafalowała, zgęstniała, zrzedła i rozstąpiła się, a z mgły wyszły konie.
Były chude, półprzezroczyste i miejscami jakby dziurawe na wskroś.
Ale i tak były piękne.
Mokre, lśniące od wilgoci, świeżo we mgle wykąpane.
Potrzęsały głowami i strząsały z grzyw srebrne kropelki wody.
Trzej mężczyźni, którzy akurat pojawili się pod sklepem, stali i patrzyli jak urzeczeni.

EDWARD, MIESZKANIEC ULICY FOCHA

*Ee, jak to było?
No byliśmy trochę już zrobieni, bo Marek miał urodziny.
W domu piliśmy, bo zimno i ta mgła.
Romantycznie, przy świeczce.
Się nam kończyło piwo, to poszliśmy do sklepu.
No i wtedy je zobaczyliśmy.*

Te konie.
 No, były piękne i lśniące, i srebrzyste.
 Pod przychodnią stały.
 A potem nagle się spłoszyły.
 I pobiegły.
 A za chwilę... z powrotem.

PAN MICHAŁ, PASJONAT HISTORII WZGÓRZA

Tu, niedaleko, pod MOPS-em, jest koński cmentarz, tam leżą konie przez Niemców rozstrzelane.
 To były niemieckie konie; Niemcy, cofając się, zabili je, żeby się nie dostały w ręce Armii Radzieckiej.
 To mogły być one, albo też te, które zginęły przy budowie Gdyni.
 Jak się Gdynia budowała, to te konie ciągnęły wozy z piaskiem.
 To była tak ciężka praca, że życie takiego konia od momentu rozpoczęcia pracy aż do śmierci trwało średnio trzy tygodnie.
 Historia budowy Gdyni to historia krzywdy koni.
 Gdynia to jeden wielki koński cmentarz.
 Trzy tygodnie, póki nie sprowadzono koni z Polesia – te wytrzymałe były.
 To był pomysł niejakiego Brechelki, on właśnie na Wzgórzu, na Górnej, mieszkał – najdłużej żyjący furman Gdyni.

LAWINA ZDARZEŃ

– Trfaj, filo – uroczyście zabełkotał jeden z mężczyzn patrzących na konie.
 Nie wiadomo, dlaczego mu się nagle taki cytat przyplątał, nie wiadomo skąd, chyba jeszcze ze szkoły.
 Chwila trwała i była piękna.
 Konie stały i były lśniące.
 Trzej mężczyźni patrzyli na konie.
 Kawałek dalej młodzi kibice patrzyli na Matkę Boską.
 A dziki ryty nieopodal, w śmietniku.
 Nagle jeden z mężczyzn zgniół pustą puszkę i się otrząsnął.
 – Zenek, no co ty, jakie tam, trwaj, chwilo? My tu mamy realny problem, gdzie teraz kupić piwo, jak sklep zamknięty.
 Wtedy czar prysł.
 Jeden z ryjących w śmietniku dzików znalazł reklamówkę z resztkami dyni i wsadził w nią głowę, a wsadził tak nieszczęśliwie, że reklamówka zaplątała mu się na uszach.
 Napadnięty, rzucał łbem, ale szeleszczący potwór nie puszczał.
 Prerażony, ruszył na oślep.
 Wprost na stojące pod przychodnią konie.
 Za nim ruszyła jego mama, a z nią ciotki i bracia.
 Kwik, rzenie i tętent odezwały się prawie jednocześnie.
 Runęła lawina zdarzeń.

„To wszystko działo się zbyt szybko” –
 zeznali zgodnie Dariusz W. i Kamila S.

KAMILA S.

Podczas na Matkę Boską patrzenia usłyszałam kwik i się odwróciłam.
 Coś leciało przez skwer, ale nie widziałam co, bo była mgła, a to było daleko.
 Pewnie dzik, bo co innego? – jak świnia się darto.
 A zaraz potem zobaczyłam konie.
 Pędziły prosto na nas.
 Przeraziłam się, ale pomyślałam też, że są piękne, bo wyglądały, jakby z mgły były.
 A dalej nie wiem.

Darek chyba rzucił się do tyłu i chyba stłukł tę szybę, a wtedy Matka Boska uniosła ręce w górę i te konie stanęły.

D A R I U S Z W .

To nie były zwykłe konie z ciała i krwi.

Były trochę jakby niewidzialne, ale też nie do końca.

Miejscami były dziurawe, a miejscami półprzezroczyste.

Ale przez to ani trochę mniej straszne.

Gnały wprost na nas, skoczyłem do tyłu, zasłoniłem sobą Kamilę.

I wtedy właśnie ten jeden koń stłukł kopytem szybę.

A zaraz w następnej chwili wszystkie się zatrzymały, to znaczy zatrzymała je Matka Boska.

Podniosła ręce do góry, o tak, jakby błogosławiła, i te konie stanęły i zawróciły,

a Matka Boska zniknęła.

P A N I M A R I A , M I E S Z K A N K A U L I C Y G Ó R N E J

U nas, na Górnej, mieszkała taka pani.

Ubierała się zawsze na biało-niebiesko, w długie szaty, a na głowie wiązała chustkę.

Jak miała dobry humor – błogosławiła, jak zły – rzucała kartoflami.

Ja myślę, że to była ona, nasza Matka Boska, to ona zatrzymała te konie.

Tak czy inaczej, doszło do interwencji sił wyższych.

Nawet jeżeli nie była to Matka Boska prawdziwa.

W D Ó Ł , D O M O R Z A

Nad ranem zerwał się wiatr.

Z nieba posypały się bukowe liście.

Mgła się cofała.

Rzedła, rwała się na strzępy, odplątywała z drzew, zsuwała z ulic.

Lepiła się w kłęby i turlała w dół, do morza.

Między kłębami mgły szły dziki, wracały do lasu, ponad stadionem na Ejsmonda.

Targnęto mocniej, jabłonie sypnęły ostatnimi jabłkami.

Wiatr wymiatał z ulic kurz, liście, śmieci i resztki mgły.

Znad Riwiery przyszły ciężkie, niskie chmury i na śpiące Wzgórze lunął zimny, gęsty deszcz.

Zapaliły się latarnie i zaraz zgasty, bo dniało.

W jednej chwili wróciło światło, telefonia i Internet.

Wiatr gnał bulwarem piasek i zmarznięte liście.

W deszczu, pustą plażą, szedł wielki, nakrapiany dog arlekin.

Mgła wchodziła do morza, a z morza wychodził dzień.

Stena Lajn wyptywała do Szwecji.